Nr. 5. 6. marca 1875. **Rok XV.**

Wychodzi w Tarnowie dwa razy w miesiącu. Redakcya w zabudowaniu X. X. Bernardynów. Manuskryptów redakcya niezwraca Numer pojedynczy kosztuje 12 centów.

DZWONEK

PISMO LUDOWE.

Kosztuje rocznie 4 złr. półrocznie 2 złr. 20 c. Kwartalnie 1 złr. 10 c, wraz ze „Zgodą" rocznie 5 złr. półrocz. 2 złr. 70 c. kwartalnie 1 złr. 40 c. Inseraty 5 cent., od wiersza drobnego druku.

Ze Lwowa. Kaźmirz Brodziński. Wiersz: Wędrówka życia. Powieść (Kasieńka). Wiersz: Kościół w Milatynie, Listy ze wsi. Rzeczy kościelne. Listy od redakcyi. Rozmaitości Sprawy bieżące. (Kronika. Tarn. Inseraty.)

Ze Lwowa.

W numerze 4tym „Zgody" było doniesienie, że żydzi tarnowscy mocno są zagniewani z powodu poruszenia kwestyi żydowskiéj w pismach tarnowskich. Można było łatwo przewidzieć, że śmiałe i otwarte podniesienie téj kwestyi wywoła przeciw wam oburzenie u wszystkich, których wypowiedzenie prawdy, bezpośrednio lub pośrednio dotyka. Jak dalece zaś większość ludności żydowskiéj jest szkodliwa dla spółeczeństwa, wykazuje najlepiéj ta okoliczność, że skoro dziennikarstwo poczęło uderzać przeciw lichwie, pijaństwu, demoralizacyi i wywłaszczaniu ludu przez żydów — ogół ludności żydowskiéj uczuł się tem dotknięty i uważa, a nawet oświadcza głośno, że walka wypowiedziana lichwiarzom i oszustom, nie pojedyńczym osobom, ale całemu plemieniu zagraża. Skoro tylko sprawę żydowską zaczęto rozbierać w dziennikach lwowskich i wykazywać okropne nadużycia i bezprawia, jakich się żydzi na ludności wiejskiéj dopuszczają — natychmiast towarzystwo utworzone dla obrony interesów żydowskich „Szomer Izrael" wniosło do ministra sprawiedliwości prośbę o polecenie prokuratoryi państwa, aby wystąpiła w obronie żydów i pociągnęła do odpowiedzialności dzienniki, które wedle zdania „Szomer Izraela" najniesłuszniéj czernią żydów i ludność chrześciańską do walki przeciw nim podżegają.

Lecz prokuratorya państwa nie mogła uczynić zadość gorącym prośbom „Szomer Izraela," nie wytoczyła ani jednego procesu o podburzanie przeciw żydom, fakta bowiem, podawane w dziennikach, zbyt są prawdziwe, a niezliczone nadużycia i bezprawia żydów zbyt powszechnie wiadome, aby potrzeba było żądać szczegółowych dowodów na to, że czynione im zarzuty są uzasadnione.

Na prowincyi gniew żydów objawił się w daleko jaskrawszy sposób. W Stanisławowie dziennik „Hasło," który ma ogromną zasługę w sprawie szerzenia towarzystw wstrzemięźliwości i zakładania wiejskich kramów chrześciańskich, został wyklęty przez żydów, kilka numerów tego pisma spalono publicznie, na ulicy, przed kawiarnią żydowską, a motłoch żydowski wystąpił tłumnie na rynek

i powybijał szyby w oknach lokalu redakcyi „Hasła.“ Natomiast ludność chrześciańska uznając potrzebę pisma rozbierającego bieżące sprawy społeczne, nie odmówiła „Hasłu“ swego poparcia, tak że dziś nietylko miasteczka i dwory, ale i liczne gromady powiatów sąsiednich prenumerują to pismo.

Sądzę przeto, że pomimo gniewu żydów tarnowskich nie przestaniecie iść naprzód na obranéj drodze, a uznanie ogółu obywateli kraj miłujących towarzyszyć wam będzie.

Lwów dnia 3go marca 1875.

Kaźmirz Brodziński.

(Dokończenie.)

Jeden jeszcze wypadek zdarzył się Brodzińskiemu w Tarnowie, śmieszny, ale świadczący o niepohamowanéj żądzy wiedzy. Idąc razu pewnego ze szkoły pomiędzy straganiarkami sprzedającemi owoce, nie mógł się oprzéć pokusie studenckiéj, i kupił sobie wiśni za parę grajcarów. Usłużna owocarka zawinęła kupiony przysmak w jakąś kartę, którą z książki staréj wydarła. Brodziński rzuciwszy okiem na ową księgę, wyczytał napis: *Rytmy Kochanowskiego*. Radością zabłysło mu oko, w duszy się rozjaśniło, bo mógł mieć to, co dobrze znał, chociaż jeszcze nie widział. Więc nie wiele myśląc, sięgnął ręką po książkę, a zostawiwszy wiśnie, uciekł z *Rytmami*. Straganiarki wrzasnęły: Złodziej! Łapaj! a na to hasło rozpoczęła się gonitwa po rynku za złodziejem. Osaczonego złowiono, i zaprowadzono do ks. prefekta. Ten wyrozumiał sprawę, domacał się zbrodni politycznéj, i aby się ta nie doniosła do cyrkułu, załatwił rzecz, zamknąwszy Kaźmirza do kozy.

W owe czasy utworzono Księstwo warszawskie, a Napoleon zbliżał się jakby w tryumfalnym pochodzie przez Polskę do granic Moskwy, a wszystko co młode i gorącego serca, cisnęło się w szeregi, aby pod sztandarem ojczystym bić wroga, co tak srogo ciemiężył miłą maciérz Polskę. Brodziński zaciągnął się do artyleryi, widział pogorzel Moskwy, bił się pod Berezyną, gdzie stracił ukochanego brata Andrzeja, był czynnym świadkiem upadku i klęski Napoleona, i z rozdartém sercem a rozranioną duszą, powrócił do Warszawy.

Jeszcze raz zaciągnął się do wojska, bo mu się zdawało, że taki olbrzym jak Napoleon, nie może runąć.

Był więc w ostatniéj bitwie Napoleona pod Lipskiem, gdzie wielkość tego bohatéra, jego duma i przyszłość rozbiły się nie tak o męstwo, jak raczéj o zdradę Niemców. Nasz Kaźmirz dostał się do niewoli pruskiéj, lecz wkrótce z niéj uwolniony, odpoczął przez czas niejaki u ciotki swojéj w Sulikowie.

Po wypoczynku udał się do Warszawy, gdzie był profesorem w konwikcie X. X. Pijarów, następnie wykładał w liceum, a wreszcie był profesorem w uniwersytecie warszawskim.

Tymczasem Moskale rozgospodarowali się w Polsce na piękne, i niszczyli kraj cały w najlepsze. Młodzież i niemłodzież wywożono na Sybir i do Kamczatki, a w cytadeli świstał nahaj; — płynęła krew nie żołnierzy, ale bezbronnych męczenników, dzieci i niewiast. Czułe serce Brodzińskiego napawało się boleścią na ten widok sromoty i nieszczęścia. Chciał żal swój utopić w nauce i pracy; to téż pracował tak długo, aż praca podkopała jego życie. Wyjechał na kuracyą do Drezna. Nie było już dla niego zdrowia, bo skołatany wojaczką, znużony pracą i złamany boleścią zasnął na wieki 1835. r. 10. października.

Prace jego na polu literatury naszéj dokładnie znane, więc o nich nie wspominamy, zwłaszcza że nie raz jeszcze w piśmie naszém przyjdzie o tém mówić. W bibliotekach wędrujących, (Nr. 4. „Dzwonka") które urządzamy, pierwszeństwo mieć będą jego utwory, a w ten sposób czytelnicy nasi zaznajomią się z nim dokładnie.

Mąż ten w mieście naszém, w Tarnowie,— zaczerpnął pierwsze nauki, i młode swoje życie napoił miłością ojczyzny, dla któréj żył, pracował i umarł. —

WĘDRÓWKA ŻYCIA.

Jak pielgrzym, co kwitnące minął kraje, włości,
A przed nim czarne niebo, piaski, puszcza naga,
Aczkolwiek go pragnienia, głodu dręczy plaga,
Idzie, wierząc, że w końcu w kraj cudów zagości:

Tak człowiek, gdy przekwitnie krótki maj młodości,
Lubo go w dalszém życiu los przeciwny smaga,
Śmiało kroczy do celu, a w duszy się wzmaga
Nadzieja dni szczęśliwych w odległéj przyszłości.

Nieszczęsny, kto w wędrówce, gdy się niebo chmurzy,
Łamiąc ręce wzrok błędny w mgłę przelotną wnurzy!
Czyż nie piękniejszy bowiem kwiat polny po burzy?...

Bez walki nie zdobędziesz siły poświęcenia,
Matki czynów, cnót wielkich, wielkiego imienia —
Łzą, skargą, nie wyłudzisz od Boga zbawienia.

Kasieńka.

Kasia miała do pilnowania trzy owieczki. Nie umiała jeszcze ani czytać ani pisać, ale mówiła już nie źle i była bardzo dobrą dziewczynką.

Po świętach Bożego Narodzenia owe trzy owieczki dały trzy jagniątka, dwa zdrowe i silne, trzecie zaś tak małe, jak malutki królik. Matka Kasi, Jakubowa, powiadała, że się nie opłaci chować maleńkie jagniątko, bo i niedługo pożyje i więcéj zje niż będzie warte.

Martwiła się tem Kasia, bo małe stworzeńko wolała niż inne, i stósowniejsze się jéj zdawało do swego wzrostu. Wyprosiła sobie u matki jagniątko, przyrzekła, że się będzie niem zajmować i nazwała je „Pieszczotką,“ bo to była owieczka.

Ale Kasia kochała je zanadto, całowała bez ustanku i nosiła na rękach; to téż jagnię często od pieszczót beczało. Jakubowa powiadała, że przez takie pieszczoty przeszkadza róść jagniątku; lecz Kasia właśnie sobie życzyła, żeby Pieszczotka nie wyrosła, owszem żeby była jeszcze mniejszą, żeby się zmieściła w kieszeni. Wypędzała owce na paszę z rana i po południu; oba większe jagnięta stały spokojnie bez matek, tylko „Pieszczotka“ beczała żałośnie. Jęki te serce rozdzierały Kasi. Jagniąt nie pozwalała matka wyprowadzać na paszę, bo były za młode, ale Kasia usilnie i ciągle przymawiała się za Pieszczotką, aż jéj znużona Jakubowa powiada:

— Rób co chcesz! — jeśli zdechnie, nie wielka szkoda, wolę się jéj pozbyć, bo i tak za nią szalejesz i o czem innem nie myślisz.

Kasia zabrała Pieszczotkę w pole i trzymała ją przez cały czas pod fartuszkiem; nazajutrz tożsamo, lecz na trzeci dzień sprzykrzyła jéj się taka niewola, puściła jagniątko i poczęła się bawić i biegać jak dawniéj.

Pewnego dnia znalazła nad wieczorem opuszczone młode ptaszę, zapewne wichrem wyrzucone z gniazdka. Nie wydawało się jéj dzikie, bo skoro nadstawiła koniuszek palca, otwierało żółty dzióbek szeroko, że aż widać było czerwone gardełko.

Kasia pieściła się z niem przez całą drogę do domu i dopiero nazajutrz zobaczyła, że się stało wielkie nieszczęście — Pieszczotki nie było w oborze!... pewnie ją wilki na pastwisku zjadły! Zapłakana Kasieńka pobiegła szukać zguby.

Było to w kwietniu; słońce jeszcze nie weszło, a w środku łąki, nad bagniskiem, wisiała mgła gęsta. Kasia przeszukała wszystkie strony, wszystkie dziury i płoty i przyszła nareszcie nad bagno, czy téż tam nie wpadła biedna Pieszczotka. Tam ujrzała coś, co ją bardzo zdziwiło, bo nigdy w życiu nie była w tém miejscu tak wcześnie. Mgła nad bagnem rozdzieliła się na cząstki, pozbi-

jała się jakby w kule i zdawało się, że niektóre unosząc się w górę, zaczepiły się o gałęzie i wyżéj wznieść się nie mogą, inne spadły na ziemię i trzęsą się, jakby je zimno przejmowało na wilgotnéj trawie. Kasia myślała przez chwilę, że widzi gromadę owiec. Ale cóż jéj po wszystkich owcach? ona przyszła szukać Pieszczotki — a Pieszczotki nie ma. Usiadła na ziemi, główkę fartuszkiem zakryła i rzewnemi zalała się łzami. Kiedy się podniosła, wszystkie kulki białe były już wysoko po nad drzewami i unosiły się coraz wyżéj w postaci różowych obłoczków.

Kasia przypatrywała się cudownemu zjawisku, a gdy oczy ku ziemi spuściła... o dziwo! — na drugiéj stronie bagna zobaczyła swoją Pieszczotkę, spiącą, lub nieżywą. Pobiegła czemprędzéj, nadstawiła fartuszek i wsunęła ją ostrożnie: dziwno jéj, że fartuszek tak lekki, jakby w nim nic nie było.

— Biedna Pieszczotka — mówiła Kasia do siebie — jak ona schudła przez jedną noc; zdaje mi się, że fartuszek jest próżny! Zawiązała koniuszki jego około stanika i nie śmiała teraz odwiązać, by nie ziębić biedaczki.

Niespodzianie na zakręcie drogi spotyka Piotrusia, syna sąsiada gospodarza. Piotruś biegnie ku niéj, a w ręku trzyma..... co?.... zgadnijcie co?

Pieszczotkę żyjącą i beczącą.

— Masz! — zawołał Piotruś — oddaję ci owieczkę. Wczoraj, kiedyś mi owego ptaszka maleńkiego pokazywała, ona weszła między moje owce. Pozwoliłem jéj, żeby się dobrze nassała i przenocowała w szopie. Pewnie myślałaś, że ci zginęła?... Widzisz Kasiu, że ja lepszy od ciebie; nie chciałaś mi dać ptaszka, o którego cię tak prosiłem.

Kasia ucałowała Piotrusia, zabrała go z sobę do chaty i dała mu ptaszę. Piotruś cieszył się i skakał jak koźlę, i starannie potem wychowywał ptaszynę. Kiedy się dowoli napatrzyła Pieszczotce, przyszło jéj na myśl, co też zabrała w fartuszek.

Strach ją ogarnął, ale i ciekawość także. Poszła na strzechę od szopy, co to aż do ziemi prawie dosięgała. Była to strzecha porosła mchem, gdzieniegdzie zielem i kwiatami, bardzo ładna, miękka, obrócona na wschód słońca. Weszła na strzechę z największą ostrożnością i rozwiązała fartuszek. Mój Boże! — co to tam było w tym fartuszku?....

Był to fartuszek dreliszkowy, z czerwonemi kropkami, przerobiony z matczynego, ani nowy, ani ładny; lecz Kasia w téj chwili za nic w świecie by go nie oddała, tak była ciekawą, co się téż w nim znajduje. Otworzyła go ostrożnie i — nie znalazła nic a nic. Tylko około niéj powstał jakiś dymek biały, zebrał się nad jéj główką w chmurkę kulistą i unosił się coraz wyżéj i wyżéj; najprzód był biały, potem złocisty, a potem w promieniach słońca różowy, jak najpiękniejsza róża.

Dziwiła się Kasia, że przyniosła chmurkę w fartuszku i cieszyła się, że tak piękna i kraśna. Tylko żal jéj było, że od niéj ucieka.

— Ty niedobry! — na tom cię przyniosła, abyś uciekał.

Z chmurki różowéj wydobył się głosik cienki, cieniutki — i śpiewał a śpiewał, ale jak, ale jak?!!...

Kasia nie rozumiała, co śpiewał obłoczek, tylko patrzyła, jak się coraz bardziéj powiększał i jak się rozdzielił na mnóstwo chmurek różowych.

— Widzisz niedobry! słońce cię wypije, jak wypiło i tamte na łące. Jabym cię była trzymała w fartuszku, albo w chłodzie pod jabłonią, a może nad cebrzykiem z wodą, skoro wodę lubisz. A tak wiatr cię pokruszy, a słońce gorące wypije.

Kasia słuchała, czy chmurka co odpowie, ale zamiast jednego głosu, usłyszała mnóstwo głosików, co świegotały jak wróble. Ale co one śpiewały, Kasia nie mogła się domyśleć. Coraz wyżéj cichły, a nakoniec nie było nic słychać, nic widać, tylko niebo czyste i jasne.

Matka zawołała ją do śniadania. Pobiegła czemprędzéj i powiada:

— Chciałabym wiedzieć jedną rzecz matusiu!

— Jakąż to rzecz, moje dziecko?

— Co téż obłoki mówią, gdy śpiewają?

— Śni ci się chyba maleńka, obłoki huczą i trzaskają, kiedy grzmot w nich siedzi.

— Mój Boże, anim może myślała o tém!! — zawoła Kasia — żeby też piorun nie wszedł przynajmniéj do mojéj chmurki różowéj.

— Do jakiej chmurki? — rzekła matka zdziwiona.

— A do téj, com ją przyniosła w fartuszku.

— Siedź cicho i nie pleć niestworzonych rzeczy; wiész że nie lubię, kiedy coś głupiego mówisz. Już nie jesteś dzieckiem maleńkiem i powinnaś mieć rozum.

Kasia zawstydzona nie śmiała się już odezwać. Po śniadaniu poszła w pole i rozmyślała nad tém, co ją spotkało rano, a że wcześnie wstała, wkrótce usnęła na pastwisku.

Gdy się przebudziła, widziała tylko niebo nad swoją głową i maleńki obłoczek, co sam jeden błyszczał, jak róża i złoto. „Jakiż on ładny myślała na pół jeszcze śpiąca Kasia — ale tak daleko! tak wysoko!..... gdy będzie śpiewał, już go nie usłyszę. Chciałabym być tam, gdzie on teraz, widziałabym całą ziemię, chodziłabym po niebie. Gdyby on był dobry, byłby mię zabrał z sobą, byłoby mi miękko jak na piórkach i przypatrzyłabym się z bliska, z czego to słońce?“

I patrzyła się ciągle w niebo i różne myśli po małéj główce się plątały.

— Kasiu, czego tak ciągle patrzysz w górę? — zapytał ktoś przechodzący

ścieżką. Był to znajomy Jędrzéj, kum i przyjaciel Jakubowy. Niósł suche gałęzie na plecach, było mu ciężko, więc podstawił gałęź i oparł je o wierzbę.

Zbudziła się z marzeń Kasieńka i powiada:

— Patrzę na ten obłok, i chciałabym się dowiedzieć, czemu stoi na miejscu i czemu sam jeden. Może mi téż powiecie, boście tyle krajów i tyle rzeczy widzieli.

— Moje dziecko, nie wiem co znaczy ten obłok, ale mi się zdaje, że coś złego wróży, a najbardziéj na morzu.

— I cóż złego wróży na morzu?

— Wróży nawalnicę. Napatrzyłem się temu, gdym jechał do Ameryki. Takie to z początku małe i białe jak baranek, ale co chwila się zwiększa, ciemnieje, zakrywa całe niebo; błyskawice, pioruny, grzmoty nieustanne, dzięki Bogu, jeśli kto cały wyjdzie.

— O mój Boże! mój Boże, czy téż i mój obłoczek tak niedobry będzie?

— W naszym kraju rzadko się to zdarza, i nic tak strasznego burza. Ale zawsze to dziwny ten obłok.

— Dziwny?... powiadacie — i dlaczegoż dziwny?

— Tak myślę, że coś złego wróży; więc trzeba się spieszyć.

Skoro odszedł Jędrzéj, Kasia znów ciągle wpatrywała się w obłok; widziała z zdumieniem, jak rósł ustawicznie i zmieniał kolory; z różowego stał się niebieskim, potém ceglastym, potém czarném i już urósł tak wielki, że połowę zajął nieba. Pociemniało, posmutniało, grzmoty poczęły się odzywać. Kasia była wielce temu rada i mówiła do siebie: „Przecież mój obłoczek nie taki jak inne; słońce go nie wypije, może on słońce połknie! I ktoby uwierzył, że go dziś miałam w fartuszku!“ Była dumną z swego obłoku — lecz gdy się błyskawice i grzmoty coraz więcéj wzmagały, przelękła się i uciekła do domu.

— Bałam się bardzo o ciebie — moja kochana — rzadko się zdarza, żeby tak wielka burza tak prędko się zerwała.— Rzeczywiście burza była straszną. Grad tłukł okna, dom cały się trząsł, pioruny pruły powietrze; jeden uderzył w wielką jabłoń w ogrodzie i powalił ją na ziemię. Kasia się trzęsła ze strachu i chętnieby się schowała pod łóżko; wreszcie zawołała głośno:

— Brzydki, niedobry obłoku, gdybym była wiedziała, że jesteś taki zły, nie byłabym cię trzymała w fartuszku!

Ostro ją wyłajała za to Jakubowa i zmartwiona żaliła się potem sąsiadom, że jéj córce coś klepki jednéj nie dostaje w głowie.

— Przejdzie to, przejdzie — pocieszały sąsiady — przelękła się widać burzy.

Nazajutrz, skoro słońce zeszło, Kasia wyszła na strzechę słomianą nad szopą. Dom uszkodzony, drzewa połamane, kwiaty pochylone, zdawały się mówić do słońca: Dzięki, dzięki ci złociste słoneczko, żeś do nas powróciło!

I Kasia miała także ochotę powitać słoneczko i przeprosić je, bo myślała że się na nią gniewa o ten obłoczek, co go wypuściła z fartuszka. Nie śmiała zapytać się matki, czy to zrobić wypada i nie odzywała się już więcéj o obłoku, i słonku. Wiedziała, że się matka za to gniewa, więc nic już więcéj nie mówiła, bo była dziewczyną posłuszną i dobrą.

Pieszczotka tymczasem, choć ją strzegła i pieściła, zdechła; trzymała sobie młodego kosa, ale ten najadł się placka z serem i zdechł; miała młodego wróbla, ale tego znowu kot zajadł; i tak nie chciała już więcéj chować zwierząt, bo jéj to sprawiało co raz to nowe zmartwienia. Poczęła chodzić do szkoły i do kądzieli już często zasiadała. Rosła pięknie i gładko, stawała się coraz przyjemniejszą dziewczynką i coraz lepszą prządką.

Koniec powiastki w przyszłym numerze „Dzwonka."

KOŚCIÓŁ W MILATYNIE.

Skwarne słońce się skryło, czarne ciągną chmury,
To wznoszą się wysoko, to znów mogił szczyty *)
Dotykają w przelocie, lejąc deszcz obfity.
Groźna cała przyroda — a człowiek ponury.

Nad ziemią wyją wiatry, a pioruny z góry
Złotemi zygzakami, całun jednolity
Czarnego prując nieba, rzucają dziryty
Na przerażoną ziemię, jak na wrogów mury.

Co tam zdala na wzgórzu takim blaskiem świéci ?
Każdy piorun, co chatę wieśniaczą ominie,
Zmieniając nagle zapęd po nad gmach ów leci

I na wysmukłéj wieży wieńcem się owinie.
To cudami wsławiony kościół w Milatynie,
To bezpieczna ucieczka Bogu wiernych dzieci.

*) W pobliżu Milatyna jest kilka mogił z czasów wojen Tatarskich.

Listy ze wsi.

(Pan Antoni Nieznalski gospodarz z Plechowca JMci Pan Zygmuntowski z Nadziejowic. Panna Jadwiga.

II.

(Z. S.) Istotnie, dziwną jest rzeczą, że prawie wszyscy gospodarze tak sobie postępują, jak ów Antoni Nieznalski. Mieszkają ustawicznie w starych zbutwiałych chatach, a nowe niszczy deszcz, słota, wiatry i zły, przewrotny sąsiad. Umieją

czytać nasi gospodarze, a przecież żaden z téj umiejętności nie korzysta. Toć w książkach wiele jest rzeczy i pięknych i pożytecznych, i rada mądra, a czasem i pomoc gotowa. Trzeba tylko nieco pilności, i mniéj w karczmie siedzieć, porzucić stare nałogi, jeśli chcecie uratować to, co jeszcze zostało. Toć nie na darmo Rząd, nie na darmo kraj cały, stara się o szkoły; nie na darmo zmuszają karami nieposłuszne gminy, nieposłusznych gospodarzy, aby budowali szkoły, utrzymywali nauczyciela, posyłali dzieci na naukę. Musi być w tém coś wielkiego i pięknego, kiedy się tak wszyscy o to starają.

Ale nauka martwą będzie i żadnych nie przyniesie korzyści, na próżno wydawano pieniądze na szkołę i nauczyciela — jeśli gospodarze młodzi, po opuszczeniu szkoły, więcéj już z nauki swojéj korzystać nie chcą. A jakie to przeróżne korzyści ta nauka przynosi, przekonałem się najlepiéj, kiedy byłem w gościnie u Jegomości Pana Zygmuntowskiego z Nadziejowic.

Ma on niewielki folwark, około 200 morgów ornéj ziemi, sto morgów lasu i pięćdziesiąt m. łąk i pastwisk. Człek to już poważniejszy, około czterdziestu lat, pięknego wzrostu, okazałéj postawy i dla gości uprzejmy, grzeczny i miły; sprawiedliwy dla swoich, jak on powiada, sąsiadów, jak znów opowiadają jego sąsiedzi, to jest chłopi z jego wioski, to prawdziwy ojciec i dobrodziej. Zdziwiło mnie to nie pomału, że zamiast zwykłego, mianowicie w wschodniéj części kraju, czapkowania i zginania się aż do ziemi, wszyscy włościanie grzecznie, uprzejmie uchylali tylko czapki na powitanie. Ale zauważyłem również, że w przywitaniu przebija się serdeczność, ufność i szczerość, podczas gdy w wschodniéj części, choć i to nie wszędzie, widziałem przymus i obłudę. Nisko się tam wprawdzie zgina chłop, zgina się aż do saméj ziemi, ale za to patrzy tylko, gdzieby coś urwać, jak zaszkodzić, i nigdy prawdy nie mówi. Tu kiedy chłop słowo jakieś powie, możesz być pewnym, że to prawda i liczyć nań jak na rodzoną matkę — tak mię przynajmniéj upewniał pan Zygmuntowski. Otóż zauważyłem na środku owéj wioski ogromny budynek, piątrowy, dokoła otoczony pięknym, obszernym ogrodem. Kiedy zapytałem, czy to urząd, czy dwór, powiedziano mi, że to szkoła. Na piątrze mieszka w jednéj połowie nauczyciel, w drugiéj połowie ogromna izba, pełna ławek, stołków, krzeseł, szaf, a wszystko to w największym ustawione porządku. Na szafach stoją wypchane rozmaite zwierzęta i ptaki, jakby żywe, na ścianach wiszą obrazy i mapy. Dwie wielkie szafy zapełnione książkami, w innych rozmaite przybory, a nawet widziałem narzędzia gospodarcze, maleńkie jakby dla dzieci; nazywają to modelami. Tutaj to w niedzielę w święta, a w zimie nawet i w dni powszednie schodzą się wieczorem gospodarze i młodzi parobcy.

Czasem nauczyciel prawi coś mądrego, czasem p. Zygmuntowski opowiada.

Otwierają się wreszcie owe wielkie szafy i nauczyciel jednym wypożycza książki do domu, od drugich odbiera przeczytane.

Dziwiłem się niezmiernie, że okna téj wielkiej izby zakratowane i dowiedziałem się, że to dlatego, aby się złodziéj nie tak łatwo zakradł, bo tu się znajdują pieniądze gminne, czyli tak zwana *Kasa gminna pożyczkowa.* Istotnie w środku między szafami znajduje się stół gruby, dębowy, a na nim żelazne pudło, czyli jak to nazywają *kasa ogniotrwała.* W téj to kasie umieszczone są pieniądze i wszelkie papiery wartościowe.

Na wypadek — czego Boże broń! — ognia, wymyślili ludzie taką skrzynię żelazną, kasę ogniotrwałą, w któréj wszelkie papiery mogą się znajdować i mimo najstraszniejszego ognia w około nie spalą się wcale. Z téj to kasy mogą wszyscy mieszkańcy parafii — a do téj parafii należy aż sześć wiosek — pożyczać pieniądze na 8 procent rocznie.

(Z braku miejsca dokończenie nastąpi w przyszłym numerze, który wyjdzie dnia 20. marca.

Rzeczy kościelne.

Niedziela czarna: (Ewangelja u św. Jana rozdział 18:) *Żydzi chcą ukamionować Chrystusa, — więc ucieka z kościoła.* Żydzi z piekielną złością robią zarzuty panu Jezusowi, a nie mogąc w jego jasném i świętém życiu ani cienia grzechu wyszukać, obwiniają go o przymierze z szatanem. Na złość taką niepojętą, jakże Jezus odpowiada? Oto wychodzi ze świątyni i opuszcza bluźnierców. W tém największa kara, bo powiada św. Augustyn: *„biada tym, których Bóg dla ich serca kamiennego porzuca!“*

Nabożeństwa miejscowe: W Piątek po południu u X. X. Bernardynów Gorzkie żale — kaznodzieja X. Berard Bulsiewicz, na temat: »pragnę« ze siedmiu słów Chrystusa; w niedzielę po obiedzie nabożeństwo w katedrze, kaznodzieja: X. Łoziński.

Tydzień. 7. Nied. Tomasza; 8. Pon. Jana B. i Beaty p.; 9. Wtor. Franciszka Rzym.; 10. Śr. 40 Męczenników.; 11. Czw. Konstantego Wiel.; 12. Piąt. Grzegorza.; 13. Sob. Krystyny i Teodora.

Listy od redakcyi.

Panu Burm. w Jaworowie: w najbliższym Nrze damy dokładną informacyą.

Do p. wójta i p. nauczyciela gminy Dębno pod Biadolinami. Prosicie panowie, aby wam posłać za darmo „Dzwonek,“ ponieważ gmina jest ubogą, więc nie może płacić. Otóż dokładnie się dowiedziałem, że gmina wasza nie tylko nie jest ubogą, ale przeciwnie bardzo zasobną, bo składa się prawie z samych kmieci. Nie pięknie to udawać ubogiego, aby na kim coś wyłudzić. Nie obrażajcie pana Boga kłamaném ubóstwém, bo za kłamstwo Bóg karze. Jeżelibyście byli na prawdę ubogimi, a pragnęli nauki, toć albo ks. proboszcz, albo i wasz pan chętnieby wam kupili książek do czytania; a i my z miłą chęcią wsparlibyśmy ubóstwo wasze, jak to, nie chwalący się, robimy. P. wójtowi mamy za złe, że na kłamliwe pismo dał swój podpis i pieczęć urzędową.

Rozmaitości.

Wyrok sądu. Działo się to już dawno, bardzo dawno, już żaden żyjący zdarzenia tego nie pamięta, ani jego dziad ni pradziad. I nie u nas w Galicyi się to stało, ani téż nie w wielkiém jakiém mieście, tylko w Lublinie, w sądzie, czyli jak go zwano trybunale. Nie znali wtenczas ludzie takich wielkich wynalazków, jak jazda parą i posyłanie listów po drutach. To téż dziwnie byli nieokrzesani, wierzyli w cnotę, wierzyli w moralność. Były to tak dziwne czasy, że nawet djabli mieli sumienie i oburzali się na krzywdę i niesprawiedliwość. Powiadają, że już podobno teraz takich djabłów zabrakło w piekle. Otóż Imci Pan Seweryn Soplica, co to już prawie przed stu laty umarł, szlachcic poczciwy i dobry katolik, tak nam opisuje ciekawe zdarzenie w trybunale Lubelskim w onych dawnych czasach.

«Nasi przyjaciele oprowadzili nas wszędzie i wszystko tłumaczyli. W sali sądowéj stał krzyż kamienny, a na nim był napis wielkiemi złotemi literami. po łacinie: Justitias vestras judicabo (po polsku: Wasze wyroki sądzić będę.) Dziwiliśmy się, że Chrystus Pan miał twarz obróconą tak, że jego oblicza widzieć nie można było, ale przyjaciele nasi opowiedzieli nam, że Chrystus Pan wprzódy na trybunał patrzał, ale przed laty pewien wypadek stał się przyczyną téj zmiany. — Była wdowa szczupłego miana, uciśniona procesem przez jekiegoś magnata, bogatego pana. Jéj sprawa była jak bursztyn czysta, ale magnat przekupiwszy wszystkich członków Trybunału, zyskał dekret w brew prawu i sumieniu. Gdy go ogłoszono, nieszczęśliwa wdowa wyrzekła na cały głos w izbie: «żeby mnie sądzili djabli, sprawiedliwszy byłby dekret.« A że sumienie kłuło nieco sędziów, nie ukarano jéj za te słowa i wszyscy udali, jakby nie słyszeli, z czém się odezwała; a że to było pod koniec sesyi, porozjeżdżali się. Zostali się tylko Pisarze. Aż tu zajeżdża przed Trybunał mnóstwo karet, wysiadają jacyś panowie, jedni w kontuszach, drudzy w frakach, z rogami na głowach i ogonami, które się z pod sukien wydobywały. I zaczynają iść po wschodach, a przyszedłszy do sali Trybunalskiéj, zajmują krzesła. Pomiarkowali się Pisarze, że to byli djabli, i w wielkim strachu przy stołach swoich siedząc, czekali co z tego będzie. Wtém djabeł, co marszałkował, kazał wprowadzić sprawę téjże wdowy. Przystąpiło do kratek dwóch djabłów prawników: jeden za, drugi przeciw stawał, ale z dziwnym dowcipem i z wielką praw naszych znajomością. Po krótkim ustępie djabeł Marszałek przywołał Pisarza, ale prawdziwego, nie djabła, i kazał mu siąść za stołem i wziąść pióro. Zbliżył się Pisarz w pół umarły z bojaźni, i przymrużając oczy zaczął pisać dekret, jaki mu dyktowano. Dekret był zupełnie na stronę uciśnionéj wdowy, a Pan Jezus na taką zgrozę, że djabli byli sprawiedliwsi niż Trybunał Przenajświętszą krwią Jego wykupiony, zasmuconą twarz odwrócił.

Testament cygański. Niedawno temu w wiosce Jad...... ciężko zachorował cygan Szymon. Leży w chacie Macieja gospodarza i stęka a stęka, wzdycha ciężko i żałuje, że już więcéj nie pohula po świecie; chciałby zrobić i testament i prosi Macieja, by do miasta pojechał po notaryusza. «Zostawcie mnie lepiéj to macie Szymonie, toć ja wasz przyjaciel» — powiada Maciéj gospodarz. «Mam żonę i dzieci i o kościele chcę także pamiętać, ale i o was nie zapomnę. Zaprzągł Maciéj koniki i jedzie do miasta, a dziwno mu po drodze, gdzie też cygan schował pieniądze? «Pewnie w szmatach owych zaszył, co się niemi przykrywa» — pomyślał mądry Maciéj i żwawo jedzie do miasta.

Przyjechał notaryusz z pisarzem, rozłożyli papiery na stole i piszą a piszą. „I cóż to zapisujecie i komu Szymonie?“

— Zapisuję — odzywa się cygan — mojéj żonie 100 złr.; na kościół także stówkę i panu notaryuszowi trzecią stówkę.

Zapisali na papier, podpisali świadków i pieczęć przyłożyli.

— A któż da te pieniądze? — pyta nareszcie notaryusz.

— Kto mo, to do — słabym mówi głosem Szymon — jo ta ni mom, to nie dom — odwrócił się na drugą stronę i skonał, a jeszcze po śmierci widać było uśmiech na twarzy cygana.

Sprawy bieżące.

Sprawy krajowe. Przed tygodniem zjechali się marszałkowie wszystkich Rad powiatowych we Lwowie, ażeby się naradzić wspólnie nad niektóremi sprawami krajowemi, a przedewszystkiem nad ustawą drogową. Mówiono bardzo wiele o téj sprawie, aż nareszcie zgodzili się wszyscy na to, ażeby pozostało wszystko jak dotąd, to jest że gminy mają dostarczać robotnika, a dwory materyałów. Wreszcie uchwalono zasadę, że ciężary drogowe należy rozłożyć równo i według słuszności na gminy i dwory.

Obecnie odbywają się we Lwowie posiedzenia Towarzystwa gospodarskiego. Z pomiędzy uchwał tego zgromadzenia podnosimy następujące. Komisya do nagradzania gospodarstw wzorowych uchwaliła przyznać następujące nagrody włościanom:

I. Nagrodę 200 złr. i dyplom uznania Łukaszowi Wojtowiczowi z Wareża (pow. Sokal.); II. Nagrodę 150 złr. i dyplom uznania Józefowi Schutterze z Polany (pow. Lwów.) III. Nagrodę 100 złr. i dyplom uznania Iwanowi Metelskiemu z Meteniowa (pow. Złoczów). Prócz tego przedstawiła do uwzględnienia i obdzielenia nagrodami po 50 złr., jakoteż małym śrebrnym medalem następujących włościan: 1) Józefa Dzika z Trościańca, 2) Ignacego Kostiowa z Trędowacza, 3) Piotra Samulaka z Łopatyna; samemi zaś medalami srebrnemi małemi: 1) Józefa Wiwerę w Zawidowicach, 2) Ignacego Karawana i 3) Jana Lubaczewskiego w Sokalu.

a) Srebrny medal p. Rudolfowi Malfait, nauczycielowi szkoły ludowéj w Smarzowie, za staranne prowadzenie szkółki drzew owocowych i rozpowszechnienie szczepów; b) srebrny medal Wasylowi Kiś, włościanowi we wsi Kadłubiskach, za przykładne budynki murowane mieszkalne i gospodarskie; c) bronzowy medal p. Wojciechowi Tomaszewskiemu w Gajach Załozieckich, za zaprowadzenie pasieki według systemu Dzierżona. d) srebrny medal Jędrzejowi Bednarzowi, właścicielowi gruntu we wsi Winniczkach za wzorowe założenie i pielęgnowanie sadu owocowego; e) srebrny medal Janowi Barowiczowi właścicielowi gruntu we wsi Ganczarach, za wzorowe założenie i pielęgnowanie dwóch sadów.

— Spodziewamy się, że Redakcya pisma „Rolnik“ która otrzymała 1000 złr. zapomogi od rządu, otworzy albo osobny dział dla gospodarzy mniejszych, albo wydawać będzie osobne pismo, choćby co miesiąc arkusz dla włościan, w którym pouczać ich będzie jak mają prowadzić z największą korzyścią małe swoje gospodarstwa. Boć przecież kilka tysięcy rolników majętnych wykształconych, rozumnych (mówimy o właścicielach większéj posiadłości) nie potrzebują zapomogi dla pisma, które dla nich wyłącznie przeznaczone.

Wiedeń. Nareszcie skończył się proces sławny Ofenheima. Ofenheim został uznany niewinnym. Wszystkie dzienniki, wszyscy Wiedeńczycy i mieszkańcy Austryi, dziwią się takiemu wyrokowi, a nawet niektórzy posłowie w Radzie państwa ostre z tego powodu robili wymówki.

— Minął nareszcie przestrach, jakiego narobił u nas wniosek Wildauera. Wiadomo, że niektórzy Niemcy, namówieni przez izraelitę z Brodów, posła Kallira i kilku moskalofilów, chcieli odebrać naszéj Radzie szkolnéj krajowéj i tę odrobinę władzy, jaką posiada. Udało się przecież naszym posłom tyle dokazać, że nad tą sprawą nie będą w Radzie państwa obradować. I tak sprawa pójdzie na chwilę w zawieszenie.

Zabór moskiewski. Moskale nawróciwszy knutem, dzidami kozackiemi i bagnetem tysiące unitów na carosławie, myślą teraz o nawracaniu katolików obrządku łacińskiego. Piszą już o tém w swoich przewrotnych dziennikach, że katolików będą nawracać. Dziwna rzecz — ganią wszyscy czasy dawne — a przecież nigdy nie było srośszego prześladowania wiary, jak teraz pod rządem moskiewskim.

Inne znowu moskiewskie dzienniki doradzają rządowi, ażeby Żmudzinów, najgorliwszych katolików, przesiedlał daleko o tysiące mil do Azyi.

☞ Piąty Nr. „Zgody“ wyjdzie w sobotę wieczór, dnia 13. marca. ☜

Nr. V. 6. marca 1875.

DZWONEK.

Kronika Tarnowska.

Bursa. Dnia 27. z. m. opuścił miasto nasze gwardyan Bernardynów z Sambora, ks. Kaźmirz Mikulski. Przybył umyślnie do Tarnowa, aby po załatwieniu wszelkich a przeróżnych formalności, oddać bursę w ręce ustanowionéj statutem kuratoryi. Przed kilku laty, (r. 1869.) widząc jak młodzież biedna tyrać musi zdrowie i siły w niewygodnych i zdrowiu szkodliwych stancyach, jak narażona często na najzgubniejsze w pływy, moralnie upada; znając zresztą smutną tę dolę zwłasnego doświadczenia—gdyż jako syn biednego kościelnego z Porąbki sam podobnego doświadczał losu— powziął szlachetną myśl wystawienia budynku dla ubogiéj uczącéj się młodzieży Sam bez grosza, przejęty szlachetną myślą, puścił się w drogę, by zebrać potrzebne fundusze. Nie zważając ani na niewczasy, ani na słoty i wszelkiego rodzaju niewygody, dopóty kołatał do drzwi ludzi szlachetnych, dopóki nie uzbierał kapitaliku na rozpoczęcie budynku. Niewygody podróży nadwerężyły tak dalece jego zdrowie, że na dłuższy czas zachorował. Skoro tylko przyszedł do zdrowia, niezrażony ani trudami podróży, ani zawiścią z powodu *„ześmo nie my zrobili“* znowu rozpoczął pracę, aż nareszcie doprowadził do skutku zamierzone dzieło. Nazwa powstałéj instytucyi: „Bursa św. Kaźmierza;“ majątek bursy obliczają na 7 tysięcy złr. Bursa posiada dwa budynki. Przy budynku za seminaryum znajduje się kawałek pola, przytykający do gruntu miejskiego. Myślą było fundatora wybudować tu dom obszerny, skoro fundusze większe się zbiorą i założyć ogród, gdzieby uczniowie w godzinach wolnych mogli się ćwiczyć w ogrodnictwie i zajęciach gospodarczych. Stąd też powszechném jest życzeniem w Tarnowie, ażeby ks. Kaźmirz do miasta naszego powrócił i dokończył rozpoczęte dzieło.

Gimnazyum. Od kilku już lat gimnazyum tutejsze mieszka komornem w trzech odrębnych i znacznie oddalonych od siebie budynkach. Z roku na rok oczekują nauczyciele tutejsi wybawienia z smutnego i szkodliwego prowizoryum; a sprawa się zwleka i zwleka, a o nowym budynku nie słychać. Tymczasem stan ten nader szkodliwie działa tak na naukę samą, jako też i na zdrowie uczniów i nauczycieli. Gimnazyum znajduje się w trzech osobnych budynkach; jakżeż przy takim stanie utrzymać należyty porządek, jak doglądnąć uczniów, kiedy już na przejście z jednego budynku do drugiego kilka chwil przecież potrzeba czasu?!.. Wszystkie prawie bez wyjątku lokale złe mają pomieszczenie; w jednych za mało miejsca, w drugich za mało światła. Skoro nadejdzie zima, powstają liczne choroby między uczniami, zapalenia i katary, których jedyną przyczyną złe pomieszczenie. Zbiory naukowe z powodu wilgoci i przenoszenia niszczeją; niektórych wcale do klasy przenosić nie można, a przeprowadzać uczniów daleko również jest rzeczą niedogodną. Dziwi nas, że rada gminna dopiero na wezwanie tutejszego c. k. Starostwa zdobyła się na przedstawienie tego stanu Radzie szkolnéj krajowéj. Sądziliśmy, że znając z naocznego widzenia ten stan rzeczy nie powinna była żadnéj sposobności zaniechać, ażeby wady te usunąć. Chodzi tu bowiem przedewszystkiem o zdrowie uczniów, o ich wykształcenie i przyszłość. Spodziewamy się że, to ostatnie półrocze owéj przymusowéj kwaratanny tutejszego gimnazyum. Rzeczą gremium nauczycielskiego wykazać statystycznie nieproporcyonalną ilość chorych uczniów i zestawić te cyfry z cyframi innych zakładów, wykazać naukowo, o ile każda klasa nie odpowiada warunkom hygienicznym i pedagogicznym.

„Gwiazda.“ Za przykładem stolicy i innych miast galicyjskich zawiązało się i tutaj w Tarnowie stowarzyszenie rzemieślnicze, pod tytułem „Gwiazda.“ Ale gdy inne stowarzyszenia tego rodzaju, a mianowicie „Gwiazda“ lwowska, co raz więcéj się rozwijają, tutejsza już od dłuższego czasu kona. Wprawdzie lepsza jakaś przyszłość poczęła świtać w ostatnim roku, kiedy nagle śmierć zabrała „Gwiaździe“ prezesa, który gorliwie sprawami stowarzyszenia począł się zajmować, i niechybnie byłby „Gwiazdę“ z upadku podźwignął. Zostawiamy tę sprawę do obszerniejszego rozbioru w przyszłym numerze; tymczasem proszono nas o uwiadomienie wszystkich członków, że w niedzielę odbędzie się odczyt w budynku „Gwiazdy“ o „Stowarzyszeniach“ i upraszamy o jak najliczniejsze zebranie.

Szynki. Nie masz może w całéj Galicyi miasta, gdzieby stosunkowo tak wielka ilość szynków istniała, jak w Tarnowie. Nie masz prawie kamienicy bez szynku, a przynajmniéj kramiku, gdzie prócz najlichszych wiktuałów wszelkiego rodzaju, głównym artykułem jest wódka. Szynki te, zwłaszcza w dni targowe, istną są plagą egipską dla wszystkich mieszkańców spokojnych. Przez całe zapusty nie można było zasnąć od przeraźliwego pisku klarynetów bijatyk i ryku pijaków. Teraz wprawdzie muzyka i wesela trzechdniowe ustały, ale zato wszędzie po nocach rozlega się śpiew tak miły i słodki, że i umarłych wskrzesić byłby w stanie. I to odbywa się nie na Grabówce, nie na Strusinie, ale na ulicach głównych, w rynku i obok rynku. Dlaczego magistrat pozwala na taką ilość szynków, dlaczego nie pilnuje, aby wcześnie zamykano szynkownie? — tego wytłumaczyć sobie nie umiemy.

Agitacye. Największą zasługą naszego dziennikarstwa, a zwłaszcza „Gazety narodowéj“ w ostatnich czasach jest to, że przecież raz zwrócono uwagę na lichwę i na niesłyszane i nigdzie niepraktykowane wyzyskiwanie ludu. Cały jeden stan traci grunt, traci ziemię, a miejsce jego zajmują pasożyci, obojętni na losy kraju, a nawet nietylko za pieniądze, ale z ochoty jego najstraszniejsi wrogowie. Jeszcze gorzéj dzieje się w mieście. Tymczasem nie widzimy żadnego zwrotu na lepsze, żadnych usiłowań ku poprawie; tylko w sprawie kopytkowéj postąpiło miasto rozumnie i obsadziło myta rodzinami chrześcijańskiemi, przez co usunięto jedną z przyczyn do szachrajki i drożyzny i tak już wielkiéj w naszém mieście. Tymczasem, kiedy my śpimy w najlepsze, żydzi poczuwający się do winy, a stąd dręczeni obawą utraty podłych zysków, rozpoczęli najnikczemniejszą i prawdziwie zbrodniczą agitacyę między ludem. Oto rozpuszczają wieść, *że panowie starają się w Wiedniu o zaprowadzenie pańszczyzny.!*

Jaką doniosłość mają podobne wieści w naszym powiecie — wszystkim to wiadomo — My z naszéj strony oświadczamy naszym czytelnikom *iż Najjaśniejszy Pan w Swojém i Swoich Następców imieniu zaręczył, że pańszczyzna już nigdy przywróconą nie będzie.* Zresztą wszyscy panowie za pańszczyznę odebrali już pieniądze, bowiem została wykupioną, więc wrócić nie może. Zwracamy uwagę Wysokiego rządu na podobną agitacyę, témbardziéj, że mamy dowody, iż wieści takie tutaj w Tarnowie w szynkach rozpuszczano.

Barbarzyństwo. Chłopcy warsztatowi kupili sobie strzelbę, wzięli z sobą pieska i udali się ku Klikowy. Tam na wiérzbie powiesili pieska i poczęli strzelać jak do celu. Za każdym strzałem, kiedy piesek zaskowyczał — znak że strzał był celny — rozlegały się dzikie, obrzydliwe okrzyki. Słów nam brakuje na opisanie podobnego barbarzyństwa. To coś gorzéj jak w Afryce. Jakaż to dzikość umysłu i serca?!! Zwracamy uwagę szanownych panów majstrów, że dzieci im powierzone zostaną kiedyś obywatelami kraju, że nietylko o wyćwiczenie w rzemiośle, ale i o wychowanie ich starać się powinni; zwracamy daléj uwagę, że w Tarnowie istnieje szkółka niedzielna dla chłopców rzemieślniczych, że wielu zaniedbuje obowiązku posyłania chłopców do téj szkółki, iż że wreszcie na hańbę przed całym

krajem imiona niedbałych do publicznéj podamy wiadomości.

Zmowa rzeźników. Dnia 1go b. m. nie można było kupić mięsa, ponieważ rzeźnicy tutejsi nałożyli cenę 25 ct. za funt, więc zwierzchność gminna sądziła, że należy jatki zamknąć. Nie wiemy, co więcéj podziwiać, czy samowolę rzeźników, czy niezgrabne postąpienie zwierzchności gminnéj! Rzecz albowiem tak się miała: Dnia 28 z. m. zeszli się rzeźnicy w urzędzie gminnym, celem ustalenia ceny mięsa na miesiąc marzec. Do wzajemnego porozumienia się nie przyszło z tego powodu, że przedsiębiorcy stawiali ceny zbyt wysokie, a zwierzchność gminna ich nie przyjęła. Gdy na drugi dzień żądano po 25 a nawet i 26 ct. za funt mięsa, nakazał p. burmistrz zamknąć wszystkie jatki, co naczelnik policyi ze znaną sprężystością wypełnił; a mieszkańcy pozbawieni zostali mięsa. Około godziny 11 otwarto w skutek wkroczenia c. k. starostwa jatki, i rzeźnicy ze swojemi żądaniami zostali panami placu, a zwierzchność gminna poniosła klęskę. Dla czego? bo w całéj sprawie niezgrabnie i bez taktu się zachowała.

Najpierwéj zawiniła zwierzchność gm. tém, że w niedzielę, t. j. w ostatnim terminie, nie doprowadziła ugody z rzeźnikami do jakiegokolwiek końca, chociażby ze szkodą mieszkańców. W tém razie zarzucilibyśmy wiele zwierzchności, nie powiedzielibyśmy atoli, że postępuje bez taktu.

Powtóre nie należało jatek zamykać, nie obmyśliwszy poprzód, jak zaopatrzyć mieszkańców w mięso, bo taki post przymusowy dziwnie świadczy na niekorzyść zwierzchności.

O nadużyciach przedsiębiorców w jakiéjkolwiek gałęzi przemysłu, którego monopol spoczywa u nas w rękach przeważnie żydów, mówić będziemy nie raz jeszcze, bo to rzecz ważna i obszerna — nie zdmuchnie jéj jedném pociągiem pióra,— teraz robimy tę uwagę, że zwierzchność miejska nie powinna na to pozwolić, aby nas zdzierano niesłusznemi cenami. Żydzi jęczeli w niewoli to egipskiéj, to babilońskiéj,— Tarnów dostał się do niewoli żydowskiéj, a zwierzchność gminna jest na to, aby nam ową niewolę chociaż w części osłodzić, a ma po temu środki w swoim ręku. Tym środkiem jest ustawa gminna, a bronią przeciw samowoli i wycieczkom na naszą kieszeń przez wygórowane ceny mięsa jest —paragraf téjże ustawy, który pozwala na tak zwaną wolnicę. Przekonaliśmy się, że doskonałéj cielęcej funt można kupić za 12 ct., więc pewni jesteśmy, że wolnica rozsądnie przez magistrat pokierowana, położyłaby zaporę raz na zawsze nadużyciom wyzyskiwaczy.

Wreszcie nadmienić należy, że jeden rzeźnik katolik nie należał do zmowy, co znowu spowodowało współzawodnika starozakonnego, że z nienawiści osobistéj także się od zmowy usunął.

Uwagi nasze — wyraźnie to zastrzegamy — są skierowane do zwierzchności, a nie do rady miejskiéj, która w tym razie nie mogła chwilowéj potrzebie zaradzić. Więcéj taktu, a mniéj ospałości!

Sądy przysięgłych. Tomasz Smagacz bezżenny, z Jastrząbki, za podpalenie na 10 lat wiezienia. Wyroku nieprzyjął. Wawrzyniec Wajda żonaty z Łączki, za podpalenie skazany na 18 lat więzienia. Przyjął wyrok. Szajka złodziejów: Antoni Warchół na 7 lat więzienia, inni jak: Jan Warjas, Jan Kozioł, Ferdynand Feuer, Stanisław Skowcon i Tomasz Kurdel, na mniejsze kary skazani. Dla braku miejsca, umieścimy sprawozdanie z roków sądów przysięgłych dopiero w przyszłym numerze.

Odpowiedzialny redaktor, Ks. Berard Bulsiewicz, właściciel i wydawca Jan Łaski.
W drukarni Anast. Rusinowskiego w Tarnowie.